

Piotr Wołejko: Powrót do przeszłości

Obrazy z lotniska w Kabulu, które utkwiły w zbiorowej pamięci, wskazywałyby na rejteradę i poważne problemy USA. Jednak trzeba rozgraniczyć chaotyczny proces ewakuacji od politycznej, gospodarczej i militarnej rzeczywistości. Chaosu można było uniknąć, jednak wyszło, jak wyszło. Polityka, gospodarka i militaria to zupełnie inna sprawa – pisze Piotr Wołejko w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Dzieje hegemonia. Między WTC a Afganistanem”.

Samoloty wbijające się w wieże nowojorskiego World Trade Center oraz paniczna ewakuacja z lotniska w Kabulu – to dwa obrazki spinające niczym klamra dwie dekady obecności Afganistanu w świadomości opinii publicznej. Oczywiście większość obywateli świata na długie lata zapomniała o tym, że w Afganistanie trwa, rozpoczęta wkrótce po zamachach terrorystycznych z 11 września 2001 roku, wojna z talibami i amerykańska okupacja tego kraju. Można odnieść wrażenie, że wielu polityków, wojskowych oraz ekspertów także wypierała ze świadomości fakt tlącego się bez przerwy konfliktu oraz konieczność jego zakończenia. Stąd zapewne wielkie zdziwienie, że „nagle” następuje wycofanie się zachodnich wojsk z Afganistanu oraz powrót talibów do władzy. Nie oznacza on niczego dobrego, natomiast świat przez dwie dekady nie stał w miejscu – nie wracamy zatem do punktu wyjścia.

Reżim talibów posypał się niczym domek z kart, gdy lokalni watażkowie z tzw. Sojuszu Północnego, przy wsparciu Amerykanów, ruszyli na Kabul. Trzeba jednak przyznać, że jeszcze szybciej upadło państwo stworzone przez Afgańczyków, głównie za pieniądze Amerykanów. W wielu przypadkach talibowie przejmowali kontrolę nad kolejnymi terytoriami bez jednego wystrzału. Decydowały rodzinne, plemienne i tym podobne układy, które wymykają się współczesnemu rozumieniu polityki czy strategii wojskowej. Talibowie wrócili i okazało się, że zabawne powiedzonko „wy [Amerykanie] macie zegarki, my [talibowie] mamy czas” było celną przepowiednią przyszłych losów Afganistanu. Tak naprawdę talibowie nie musieli wracać, bo cały czas byli na miejscu. Najpierw się rozpierzchli, także do sąsiadującego z Afganistanem Pakistanu. Siedzieli z opuszczonymi głowami i... czekali. W międzyczasie rośli w siłę, także – a może przede wszystkim – dzięki słabości budowanego za zachodnie pieniądze „nowoczesnego” afgańskiego państwa.

Pakistańska pięta Achillesea

Kluczowym czynnikiem, który uniemożliwił skuteczne rozbicie talibów był fakt nieustannego wsparcia, jakiego udzielał im Pakistan. Niby amerykański sojusznik, a jednak z wielu względów grający „kartą afgańską” inaczej, niż życzył sobie Waszyngton. Oczywiście relacje pakistańskiej armii, która kontroluje sytuację na afgańsko-pakistańskim pograniczu (a przy okazji sprawuje pieczę nad politykami w Islamabadzie), z talibami nie były sielanką – ba, zdarzały się nawet momenty gorącej, krwawej wojny – jednak długofalowo obie strony dobrze się rozumiały. Pakistanowi nie było na rękę, by w Kabulu powstał silny rząd, a przez to silne afgańskie państwo, a w

szczegółności by takie państwo wypracowało sobie dobre relacje z Indiami, arcywrogiem Pakistanu. Co więcej, talibowie byli też po pakistańskiej stronie granicy, w tym ich madrasy (szkoły). Można zaryzykować stwierdzenie, że problem talibów był dla Pakistanu problemem o charakterze wewnętrznym, a nie zewnętrznym. Pamiętamy też, że Pakistan w swojej historii, tej bardziej i mniej odległej, sięgał po niestandardowe instrumenty w swojej polityce zagranicznej, w postaci dżihadystów czy ugrupowań terrorystycznych (w szczególności kierował je przeciwko Indiom). Wielu liderów talibów było w trakcie ostatnich dwóch dekad poddanych „aresztowi domowemu” po pakistańskiej stronie granicy. Rezydował tam też sam Osama bin Laden, założyciel i szef Al-Kaidy. O zdecydowanej większości powyższych faktów Amerykanie doskonale wiedzieli, a mimo to nie udało im się wymusić na Pakistanie niczego konkretnego.

*Budowa nowego państwa
okazała się fiaskiem.
Pieniądze zostały wydane,
sporo zmarnotrawiono i
rozkradziono, a żadne
instytucje nie okazały się
trwałe*

Afganistan to klasyczny przykład węzła gordyjskiego, czyli sytuacji bez dobrego wyjścia. Stracone życia tysięcy żołnierzy oraz dziesiątek (a może setek?) tysięcy Afgańczyków,

miliardy dolarów oraz euro wydane na wojnę i budowę nowego państwa, a na końcu panowie z brodami, dzierżący w rękach karabiny, powrócili z uśmiechami na twarzy. Przedłużanie okupacji i utrzymywania patologicznego afgańskiego państwa nie miało żadnego sensu, natomiast można było oczywiście kontynuować ten proces. Proces, który nazwałbym wypieraniem rzeczywistości. Talibowie

wróciliby do władzy w Kabulu za rok, za pięć czy za dwadzieścia kolejnych lat. I tak od dłuższego czasu kontrolowali od kilkunastu do kilkudziesięciu procent afgańskiego terytorium, choć raczej nie większe miasta. Budowa nowego państwa okazała się fiaskiem. Pieniądze zostały wydane, sporo zmarnotrawiono i rozkradziono, a żadne instytucje nie okazały się trwałe. Łatwo powiedzieć, że wielu ekspertów przestrzegało przed tzw. *nation building*, czyli budową państwowości (w całkowicie obcych warunkach kulturowych i cywilizacyjnych). Jednak tak właśnie było – przestrzegali, że to się nie może udać. Eksperti od spraw bezpieczeństwa z kolei twierdzili, że żadne tzw. *surge*, czyli dosyłanie dodatkowych żołnierzy na krótki czas, by zdławić przeciwnika, tak naprawdę nie mają sensu i przyniosą co najwyżej chwilowe zyski, lecz długoterminowo nie zmienią obrazu sytuacji.

W amerykańskiej stolicy oraz w mediach trwają teraz rozliczenia, prowadzone pod hasłem „kto za ten bałagan odpowiada i czy można go było uniknąć?”. Mocne ciosy spadają na Prezydenta Joe Bidena, tymczasem on realizuje porozumienie zawarte przez swojego poprzednika, Donalda Trumpa, z... talibami. Taki „deal” zawarto półtora roku temu w katarskiej Dosze, a ręce uścisnęli sobie wtedy amerykański wysłannik ds. pokojowych Zalmay Khalilzad oraz mułła Abdul Ghani Baradar. Biden zdecydował się nie wyrzucić tego porozumienia do kosza (jak Trump zrobił m.in. z transpacyficznym porozumieniem handlowym – TPP oraz z umową nuklearną z Iranem, wynegocjowanymi przez administrację Baracka Obamy), choć mógł to zrobić. Zarówno z politycznego punktu widzenia (jak Trump z umowami Obamy) oraz w związku z tym, że talibowie niekoniecznie realizowali swoją stronę układu. Nie było bowiem rozmów talibów z rządem afgańskim prezydenta Ashrafa Ghaniego. Czas pokazał, że nie było z kim i o czym rozmawiać, bo za Ghanim nie stał nikt i on sam musiał ratować się ucieczką, podczas gdy talibowie w ramach

blitzkriegu przejmowali kontrolę nad Afganistanem. Dlaczego Biden nie wycofał się z dealu Trumpa? Bo nie chciał angażować się w wojnę, której nie można wygrać. Tym bardziej, że taki pogląd prezentował od dawna. Wyrażał sceptycyzm wobec „surge” Obamy w Afganistanie ponad dekadę temu. I miał rację. Bardzo przykro patrzy się teraz na polityków republikańskich, w tym z administracji Trumpa, którzy półtora roku temu byli bardzo zadowoleni z decyzji swojego lidera, a teraz krytykują Bidena za to, że... trzyma się ustaleń Trumpa. Polityka pełna jest hipokryzji.

Spojrzenie w przyszłość

Co dalej? To pytanie jest najważniejsze i jak zwykle, najtrudniej jest przewidzieć przyszłość. Rządy talibów znamy i wiadomo z grubsza, czego się spodziewać. Będzie to, z zachodniego punktu widzenia, barbaria. Czy ktoś wierzy w to, że talibowie wprowadzą islamską wersję nowoczesnego konserwatyzmu? Społeczeństwo zostanie wzięte za twarz, to jasne. Co smutne, dla nas większe znaczenie ma jednak to, czy talibowie dotrzymają słowa i nie pozwolą terrorystom na wykorzystanie terytorium kraju do ulokowania swoich obozów, prowadzenia szkoleń i indoktrynacji, a także planowania zamachów w innych państwach. To też pytanie o skuteczność sprawowanej przez nich kontroli nad terytorium kraju oraz... o Pakistan, który może mieć swoje plany wobec afgańskiego terytorium i wspieranych przez siebie ugrupowań. Amerykanie będą pilnować tego zobowiązania, a w razie uzasadnionej wątpliwości skierować siły powietrzne bądź nawet komandosów, by „wyjaśnić” temat.

Sukces talibów może mieć istotne skutki we wszystkich państwach, w których działają fundamentalistyczne ugrupowania, bojówki i siły polityczne – i gdzie prowadzą one walkę z miejscowymi władzami. Jest to szerokie spektrum od Azji Południowo-Wschodniej, Środkowej, Bliskiego Wschodu, aż po Maghreb i Sahel. Skoro talibowie zmusili do wycofania się z Afganistanu największe światowe mocarstwo i jego sojuszników, to dlaczego innym miałyby nie udać się obalenie o wiele słabszych liderów? Z drugiej strony, takie hasło jest chwytliwe i może zająć analityków na jakiś czas, natomiast poza moralnym „boostem”, sukces talibów niewiele zmienia w sytuacji w jakimkolwiek innym państwie, gdzie dżihadyści prowadzą walkę z rządem.

Dużo mówi się o potencjalnym przejęciu afgańskich bogactw (surowców naturalnych) przez Chiny, które miałyby porozumieć się z talibami i rozwijać wydobywanie oraz budować w Afganistanie infrastrukturę transportową. Chiny na pewno chciałyby do takiej sytuacji doprowadzić, jednak po co talibowie mieliby się na to godzić? Gdy sprawowali władzę poprzednio, preferowali odcięcie się od świata. Czy teraz wierzą już we wzrost PKB oparty na przemyśle i szlakach komunikacyjnych? Czy potrzebują modernizacji kraju, z którą związany będzie rozwój gospodarczy – nawet ograniczony do kilku(nastu) lokalizacji? Wreszcie, czy Chiny odważą się zaufać talibom i wysłać swoich obywateli do realizacji takich inwestycji, co jest standardową chińską procedurą (zresztą skąd wziąć w Afganistanie rządzone przez talibów odpowiednich fachowców)? Wygląda to na zwyczajowe straszenie zwiększeniem wpływów przez Chiny. A koniecznie należy wspomnieć o prześladowaniu Ujgurów (muzułmanów) przez chińskie władze w prowincji Xinjiang. Trzeba też pamiętać, że na jakąkolwiek zagraniczną interwencję w sprawy afgańskie bardzo niechętnie spogląda Pakistan, traktując terytorium Afganistanu jako „strategiczną

głębie” na okoliczność konfliktu z Indiami. Owszem, Chiny to sojusznik Pakistanu, partner gospodarczy i dostawca uzbrojenia, jednak niewiele to zmienia w pakistańskim spojrzeniu na sprawy afgańskie.

*Chiny to sojusznik Pakistanu,
partner gospodarczy i
dostawca uzbrojenia, jednak
niewiele to zmienia w
pakistańskim spojrzeniu na
sprawy afgańskie*

A co dalej z
Ameryką? Obrazy z
lotniska w Kabulu,
które utkwiły w
zbiorowej pamięci,
wskazywałyby na
rejteradę i poważne
problemy USA.

Jednak trzeba

rozgraniczyć chaotyczny proces ewakuacji od politycznej, gospodarczej i militarnej rzeczywistości. Chaosu można było uniknąć, jednak wyszło, jak wyszło. Polityka, gospodarka i militaria to zupełnie inna sprawa. USA pozostają globalną potęgą. Dobiega końca okres wojen „Busha”, za które odpowiada Partia Republikańska. Ameryka zwraca się bardziej do wewnątrz, by rozwiązać swoje problemy, w tym z niedomagającą infrastrukturą. I o ile trudno spodziewać się rychłego znaczącego zaangażowania amerykańskich wojsk na świecie, to trzeba pamiętać, że nikt nie przewidywał go w roku 2000 czy w pierwszej połowie 2001 r. Zawsze może wydarzyć się coś, co zmusi prezydenta – obecnego bądź przyszłego – do gwałtownej reakcji. A posiadając największe możliwości wojskowe, zawsze łatwiej o taką reakcję. Tym bardziej, że często pojawia się silna publiczna presja na to, by „coś zrobić”. Nie sposób także łączyć ewakuacji z Afganistanu z traktatowymi zobowiązaniami USA czy rolą Ameryki w globalnym systemie bezpieczeństwa. Tutaj zawsze każda sytuacja będzie rozpatrywana odrębnie. Wreszcie, Ameryka nie stała się mniej wiarygodnym partnerem dla swoich sojuszników. Nikt nie gwarantował, że okupacja

Afganistanu potrwa wiecznie, a amerykańscy żołnierze będą ginąć broniąc rządu, za który nie chciał ryzykować życia żaden Afgańczyk. Najpewniej (życzenie: oby na pewno) dobiegła końca epoka operacji typu „nation building”. Budowa narodu, państwa, w obcych warunkach cywilizacyjnych, przez żołnierzy, nie może się udać. I nie powinno się w ogóle o tym myśleć.

Paradoksalnie, wbrew wrażeniu wywołanemu przez skupienie się mediów na temacie Afganistanu w ostatnich tygodniach, nie wydarzyło się nic przełomowego dla sytuacji międzynarodowej. O Afganistanie mało kto pamiętał i mało kto będzie o nim pamiętał za pół roku czy za dwa lata. Nie jest to ważny element globalnej układanki. Sytuacja ulegnie zmianie, gdy okaże się, że talibowie jednak wspierają – mimo wcześniejszych zobowiązań – ugrupowania terrorystyczne. Wtedy „problem” afgański wróci na szczyt agendy i potrzebne będą działania. Jest bardzo mało prawdopodobne, by wykroczyły ponad wykorzystanie samolotów i dronów, bomb i rakiet oraz sił specjalnych. Bardzo istotna jest kwestia uchodźców, którzy już od kilku miesięcy szukali dla siebie nowego miejsca zamieszkania, a po przejęciu władzy przez talibów poszukujących będzie o wiele więcej. Jest to temat na osobny tekst, jednak warto pomyśleć o tym, czy państwa biorące udział w niemal 20-letniej okupacji Afganistanu nie ponoszą odpowiedzialności za dalsze losy ludzi, którzy im pomagali, zaufali i współpracowali z nimi, a także tych, którzy liczyli na to, że powstanie poważne, stabilne, bezpieczne i nowoczesne (na ile to możliwe) państwo, gdzie będą mogli prowadzić normalne życie. Podejście Europy pod hasłem „żadnych uchodźców” brzmi egoistycznie, jest pozbawione empatii oraz krótkowzroczne. Problem migracji nie zniknie, chociaż coraz usilniej próbuje się go wyprzeć ze świadomości czy wznosić graniczne mury.

Piotr Wołejko

Piotr Wołejko – prawnik, ekspert od spraw ds. bezpieczeństwa i spraw międzynarodowych. Autor bloga BlogDyplomacja.pl



Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu.



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030

